

# KAMENA

MIESIĘCZNIK  
LITERACKI

ROK V

NR 6

## TREŚĆ NUMERU SZUSTEGO

TADEUSZ SARNECKI	Niepokój na Fifth Avenue str.101
JÓZEF ŁOBODOWSKI	Elegia . . . . " 105
STEFAN NAPIERSKI	Pióro . . . . " 106
MIECZYSLAW JASTRUN	* * * . . . . " 106
JERZY K. WEINTRAUB	Poemat . . . . " 106
NORA ODLANICKA	Wino mętne . . . . " 107
ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI	Pożar skroni . . . . " 108
ZDZISŁAW POPOWSKI	Przeciw dziejom . . . . " 108
ALICJA IWAŃSKA	Zdanie logiczne . . . . " 109
PIOTR KORZUCH	Wieczór na przedmieściu „ 109
MIROSLAW S. RADECKI	Obok życia . . . . " 110
JERZY PLEŚNIAROWICZ	Lublin kiedy we mgle . . . . " 110
MARIAN CZUCHNOWSKI	Wyjątek z „Ksawery“ . . . . " 111
RAINER MARIA RILKE	Trzy wiersze . . . . " 114
KAZIMIERZ A. JAWORSKI	Przegląd poezyj . . . . " 116
VITIEZSLAV NEZVAL	Miłość . . . . " 116
RUDOLF DILONG	Włóczęga . . . . " 117
JAN SMREK	Pieśń zimowa . . . . " 118
	Kronika Słowiańska . . . . " 119
	Noty . . . . " 120

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Z teki karykatur

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniowski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezcki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr. Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kameny” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENĄ NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Wydrukowano w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



# K A M E N A

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

---

---

ROK V

LUTY 1938 R.

NR. 6 (46)

---

---

### NIEPOKÓJ NA FIFTH AVENUE

Nikogo oczywiście dziwić nie powinno, że Andrzej Strug zajmował się w twórczości literackiej zagadnieniami natury spoź łąecznej. Miał ku temu i powołanie i specjalną skłonność juć w początkach swej drogi do sławy, ale niewątpliwie zdziwi-to powinno każdego, że mimo wyraźne oblicze polityczne pi-sarza, książki jego są najzupełniej obiektywnym spojrzeniem na świat i życie skołatanych ludzi. Piszę o tym dlatego na po-czątku artykułu, że w ostatnią powieść Struga wmówiono przez recenzje i luźne wypowiedzi zupełnie przejrzystą tendencję, ugruntowaną niejako po śmierci manifestacją jego wierności po-litycznej dla P. P. S. Oczywiście rozumie się z tych książek doskonale, kto je pisze i kto to jest Andrzej Strug, ale nie-mniej prawdy jego są starannie i to bez cienia agitacji potwier-dzane samym najoczywistszym życiem, jakie przewala się przez jego dzieła rwącym potokiem rzeczywistości. Na to zdanie po-zwalają przede wszystkim „Miliardy“, które jak na nasze sto-sunki zdumiewają niebywałą koncepcją literacką. Przywykło się bowiem do tego, że literatura społeczna opisywać musi życie ludzi prostych, chłopów, robotników lub zdeklasowaną inteligencję, gdy tymczasem Strug zastosował metodę odbicia rzeczy w lu-strze przez pokazanie środowiska najbogatszych ludzi Ameryki. Pomysł jest istotnie niezwykły i dla swego właśnie charakteru dał się przekształcić w powieść bardzo interesującą nie tylko fabułą, ale i innymi elementami narracji, które w normalnym biegu rzeczy stanowią najbardziej nudne partie książki. W „Mi-liardach“ rzecz się ma niemal odwrotnie, fabuła czysta, a więc akcja, sam dramat życia osobistego, jak miłość, stosunek pani Rascob do Ralfa, komplikacje w pożyciu ludzi nie są na tyle interesujące, co właśnie szerokie, bo ogólnoświatowe tło kry-

zysu finansowego i związane z tym załamania ustrojowe Europy i Stanów Zjednoczonych.

Można nawet śmiało zaryzykować powiedzenie, że „Miliardy”—to pierwsza powieść tego typu, w której fabuła powieściowa nie pożera zasadniczej treści dzieła intrygą miłosnej gry życia. Dzieje się to już dlatego, że autor zachowuje doskonałą proporcję między elementami a swym tematem zasadniczym, tak prosto nazwanym w tytule. Chodzi bowiem istotnie o miliardy dolarów, zagrożonych w swym bycie przez niedomagania ustroju kapitalistycznego w ekonomicznej gospodarce świata,

Strug doskonale przestudiował swój temat, czuć to w czytaniu znakomicie, że problemy ekonomiczne zostały przetrawione tutaj ze ścisłością naukowego badania. Ta dokładność i głębokość studiów przygotowawczych pozwoliła uniknąć autorowi częściej frazeologii ideologicznej; ani razu nikt nie odzywa się w powieści banalnie, ani razu nie mamy powodu do odczucia fałszu przez utarte, agitacyjne hasła któregokolwiek z popularnych kierunków politycznych świata. Poza tym powieść pozwala przemyśleć swój problemat najzupełniej spokojnie, bez najmniejszej namiętności, a niemniej w stanie najwyższego zainteresowania. Jest to szczególnie ważna cecha, a raczej po prostu zaleta „Miliardów“, w okresie bowiem fermentów społecznych i politycznych, wielkich nienawiści i niemal średnio-wiecznego fanatyzmu, dobrze jest, że autor pomyślał o tym, aby nawet jego przeciwnik wziął książkę do ręki i spokojnie ją przeczytał, Niewątpliwie przyczynia się do tego przede wszystkim wybór środowiska. Powieść, jak już wspomniałem, poświęcona jest najbogatszym ludziom Ameryki. Przez to też od razu rzuca perspektywę na cały świat, na każde jego miejsce, gdzie tylko dociera dolar. Nie wiem, czy było można w prostszy sposób uczynić powieść uniwersalną, wartością niemal międzynarodową. Oto w stolicy finansowej świata, w wielomilionowym skupisku ludzi, toczą się ważne rozmowy i wypadki. Rozmowy te nie tyle dotyczą New Yorku, ile Europy, Azji i Ameryki; i jeśli rozstrzygają cośkolwiek w sposób zdecydowany, odbić się to musi natychmiast w każdej miejscowości, o ile nawet nie jest ona związana bezpośrednio ze Stanami Zjednoczonymi.

O czym to myślą nieustannie, o czym to rozmawiają i co chcą naprawić najbogatsi ludzie świata: miliarderzy i multimilionerzy, którzy sami nie mogą ogarnąć ogromu swoich bogactw? Po prostu cała ich uwaga, nieustępliwa obserwacja i pracowitość głowi się nad sprawą kapitalizmu. Starają się

wszyscy dojść do jakiegoś jasnego przekonania, że jest albo ułeczalny z zupełnie wyraźnych niedomagań, albo przegrał już siebie bezpowrotnie.

Od jednego z tych stwierdzeń zależy ich sposób reagowania na życie. Niektórzy już sami doszedłszy do negacji kapitalizmu, chytrze choć z grubą stratą ratują dla siebie żelazny kapitał na wszelkie możliwe i niemożliwe przewroty, lub w panice tracą głowy i majątki, schodzą do roli pucybutów i nędzarzy. Są wprawdzie i tacy, którzy chcą walczyć o kapitalizm i jego zwycięską triumfalną przeszłość z wiarą w lepsze jutro ekonomiczne świata. Nie wiedzą jednak, jak przywrócić rentowność swoich kapitałów i ożywienie gospodarcze, skoro rwie przeciw nim i potok głodnych ludzi, i duch rewolucyjnych mas, i nienawiść bezrobotnych. Zjawia się jednak w ich towarzystwie uczony lub maniak, profesor Van der Zypen, z gotową i gruntownie przemyślaną receptą ratunku. Ów profesor systematycznie mota słowem sugestywnym najbogatszego z bogatych, samego Shurmana, aby ten zechciał zrealizować jego plan ratowania kapitalizmu przez fantastyczny plan światowej autarchii, nowej formy triumfalnego kapitalizmu, który ma rozwiązać wszystkie sprzeczności i bolączki obecnego ustoj u i bez reszty rozwikłać wszystkie tragiczne supełki życia zbiorowego, stwarzając w końcu, wprawdzie nie bez ofiar, najprawdziwszy raj na całej kuli ziemskiej.

Rzecz w pierwszym tomie „Miliardów“ nie jest ostatecznie zdecydowana, ponieważ ów Shurman, który jest kluczem całej tej fantastycznej utopii Vander Zypena nie oddał mu się jeszcze we władanie. Naprawdę jest to jednak obojętne, „Miliardy“ mimo swej niekompletności ciekawego dokonały przewrotu. Okazuje się oto, że można o naszych bolączkach ustrojowych mówić obiektywnie i spokojnie, dotykać najbardziej nawet krwawiących ran bez groźby więzienia i komunizmu. Po każdej stronie barykady aktualne są reformy bo w nieuprzedzonej świadomości każdego człowieka istnieje przekonanie, że nie wszystko jest na świecie w porządku, skoro istotnie w najbardziej namacalnej rzeczywistości istnieje bezrobocie, głód, nędza i rozpacz. Kłopoty pani Rascob, fermenty psychiczne jej syna Ralda, irytująca i prowokacyjna atmosfera Klubu „Uistiti“, gangsterzy New Yorku i ogromne, ruchliwe drogi życia w ulicach tego miasta zmuszają czytelnika do głębokiej zadumy, tej samej zadumy, do której zmusiły starego Van der Zypena błękitne oczy czternastoletniej Sisely, kiedy uderzył go z nich „urok innego świata, objawiło mu się nadspodziewane odkrycie, że prawda

życia i istota ludzkich przeznaczeń nie mieszczą się w olbrzymich ruchach społecznych, w zatargach, wojnach i przewrotach, że żadne uczone traktaty ani cyfry nie ogarną piękna, czaru i potęgi, które biją od tego dziecka... Że matactwa wielkiej polityki, brutalna walka o byt, cyniczna gra interesów, opętańczy sabat miliardów, wojny, rewolucje są szaleństwem, absurdem i zbrodnią, jeżeli się zapomina o najgłębszej wartości życia, o jego jedynej treści i jedynym celu... Gdy z rachunku odrzuca się wzruszenia bijących serc, ich rozkosz i ból, pojęcia dobra, ideę piękną, wcielone w jednostkę, w żywą, czującą istotę ludzką... Albowiem miarą wszystkiego jest człowiek“.

Istotnie nie można w czasie lektury oprzeć się wrażeniu, że wszyscy ludzie trzymają się tam kurczowo fikcyj, które sami wytworzyli. Bronią tego wytrwale, co zastali po ojcach lub sami wytworzyli, choćby te dzieła pełne były tragicznych błędów. Nawet potężny Shurman lęka się wyjść poza normalny bieg swoich interesów z rewolucyjną myślą Van der Zypena, choć ta myśl ma właśnie ratować od ostatecznej zagłady jego kapitalizm. Profesor jednak razem z autorem nie dają czytelnikowi spokoju. Prowadzą nas swą wprawną ręką rzekami światowego pieniądza w światowe kłopoty ludzkości. Pokazują fermenty, niedomagania i ropiejące wrzody, budząc nas ze snu. Sam Shurman, dziedziczny spadkobierca miliardów, kapitalista od dziecka, otworzył szeroko oczy po wykładach Van der Zypena. „Uwierzył mu — powiada autor“. „Uczony przybłęda zagnał go w matnię, odryglował i roztworzył przed nim zniecka potajemne, zaczarowane okno i Shurman wyrżał. Oglądał na własne oczy oblicze prawdy i momentu tego skreślić ani zapomnieć nie podobna“.

Dla Shurmana sugestywna wizja Van der Zypena była wszerzającym „objawieniem“ epoki — nową Apokalipsą.

Jakże ta książka Struga o wiele wyżej stoi od amerykańskich powieści społecznych, a przecież maluje środowisko sobie obce i odległe. Charakterystyka finansjery, jej upodobania i troski namalowane są znakomicie. Jesteśmy w najwyższej warstwie życia Stanów Zjednoczonych, pod nią wybuchają dopiero konflikty socjalne, o których dowiadujemy się z wypowiedzi postaci powieściowych i z wycieczki grona „Humanitas“ do Saltplacid. I choć wśród uczestników tej wycieczki wybuchła niemal nienawiść do właścicieli kopalni „Lucia“, autor zachowuje miarę obiektywnego eposu i pozwala nam spokojnie śledzić dalszy bieg spraw i wydarzeń. Książki amerykańskie nie mają tego umiaru i nie ukazują nam całej ziemi w dreszczach potężnego niepokoju, a tu Strug sam stoi przy owym oknie

Shurmana i całemu światu pokazuje wszystkie parokszizmy zblorowej hysterii. To budzi sumienie nawet u bogatych, czytelnik więc stoi strwożony, a na bijące mu z niepokoju serce spada niecierpliwe oczekiwanie na spokój i szczęście świata.

TADEUSZ SARNECKI

## E L E G I A

Gdy każdy szarpie ręce i woła: p r o r o k u j !  
gdy szczęście nam zatruto, a siły nie dano,  
jakże teraz zbląkanym, żalosnym Kordianom  
wyrzucić z serc zleknionych jaskółczy niepokój.

W dróg pylnych labiryncie była nam Ariadną  
ślepa dziewczka o szatach łamanych w marmurze,  
szliśmy, wichrem smagani, obsypani kurzem,  
umykającym chwilom rozkoszy nie kradnąc.

Aż dzisiaj, powaleni na późnym noclegu,  
obliczamy zwycięstwa, i klęski, i blizny.  
I ślad nasz na niezmiernych przestrzeniach ojczyzny  
jest jako trop zajęczy na porannym śniegu.

Bo żar, który nam usta i oczy zagarniał,  
zanim drogę rozjaśnił, sam w sobie się spalił, —  
zostaliśmy na zimnej, chybotliwej fali  
w czarnej łodzi przy pustych, rozbitych latarniach.

W gorączce poszukiwań, nieprzytomnie krzyząc,  
przemijaliśmy w grozie ginących hierarchij  
i zdobycz nam uciekła przez palce, a szparki  
świt suche usta zwilżył octem i goryczą...

Wicher ogromnym skrzydłem potargane czuby  
szumiących w mroku sosen przykrył i nasrozył — —  
i młodość jest jak krzyk rozpaczony i rozkoszny,  
darmo przepływająca bez żadnej rachuby...

Ręką naszym struchlałym, wrogom naszym niemy  
niedostępna dziś walka i obcy heroizm, —  
smagani ostrym zimnem, na miejscu drepczemy,  
jak dziecko, co za siebie obejrzeć się boi.

A umieliśmy przecież spoglądać bez żalu  
na wioski mijające, całe w słońca złocie  
i objawiały nam się w znojnym dniu spiekocie  
wizje, godne granitu i godne metalu.

A choć w porażkach licznych i niechybnych błędach.  
płatały nam się stopy, nocną rosą śliskie,  
nieraz w mosiężnym kurzu i wśród złotych iskier  
groźną twarzą błyskała wielkich dni legenda.

Dzisiaj, gdy z rąk niechętnych zbyteczne oręże  
niesławnie odstąpiono pachołkom i ciurom,  
milczymy myśl znużona wicherów nie dosięże,  
jest chmura nad głowami i grom ponad chmurą.

Do szczytu przepalonych niespełnionym mitem  
nurt unosi w nieznaną, kołyszący srodze  
i w mroku nam mającą w błyskawicę pożodze  
jądy nieosiągnięte, lądy niezdobyte.

JÓZEF ŁOBODOWSKI



## P I Ó R O

Wysłańcze wielkooki, proszą pióra białe,  
Sypiesz mak, by bezsennym zakleić powieki.  
Nie widzą cię źrenice. Są niedoskonałe.  
Roją miesiąc, plejady, planetarne rzeki.

Lecz przestwór nieskalany zna przelot anioła,  
Wysoki ton harmonii, który blaskiem budzi.  
— Wtedy stajemy w oknach. Nocą nikt nie woła.  
Patrzymy w płomień świecy, podobni do ludzi.

Tak mijasz wzrok uśpiony I w czyste przestrzenie  
Opadasz, gdzie ogłuchły ostatnie klawisze.  
Odrącasz wpółocznionych. Niech trwa zapatrzenie.  
— Spójrz na pióro, Serafie, którym zwolna piszę.

STEFAN NAPIERSKI

\* \* \*

Ta złota nitka w moje wplątała się włosy  
Do stodoł już zwieziono ostatnie niebiosy  
Konie zjadają źdźbła ostatnich już promieni,  
A ja, gdzie znajduję czystość i dźwięk swych strumieni?

Hesperos w okno moje wchodzi nazbyt wcześnie.  
Lecz ja swe przyszłe dawno już ujrzałem we śnie  
Czyny, dawno w podkowy dla mojego konia  
Śłupem światła bił kowal i noc zginał w dłoniach.

Nazbyt wcześnie, zbyt wcześnie! Nie zbliżaj się jeszcze!  
Może bogom ostatnie przerwałem igrzysko;  
By schwytać ich za ręce, podszedłem tak blisko,  
Że jeszcze dotąd czuję we krwi mojej dreszcze.

MIECZYŚLAW JASTRUN

## P O E M A T

1.

Drogi wiodące donikąd, ptaki lecące nad snami,  
niebo bez steru i wiosel podąża w przestrzeń zagłady:  
tam rozpacz, drzewa skarłate, spojrzenia martwe jak kamień  
spadają w studnię bezdenną dni rozpaczliwych i białych.

Lecz wierząc w światłość zbawienia ręce na wietrze łopocą.  
Kołuje czas bezustanny, krwawiąc minuty o ciernie.  
I szepczą wargi spękane:

— Wybaw nas, Panie, od nocy,  
od mąk szumiących beźmiernie wśród ciszy, czasu i czerni.

Takie dzwoniły mi jęki wśród wysp tragicznych i ciemnych,  
gdzie kiedy gaśnie zmęczenie, zakwita gorzko nienawiść,  
gdy orkan z nagłą wybuchnął w czasy przyływów wiosennych  
i zamknął dni skołatane płonąca kratą błyskawic.

2.

I nagle cisza nieznana. Głęboki oddech przestrzeni.  
Tu spokój rozkwitł miłością, a miłość kwitnie spokojem.  
Więc noce błogosławione: gdy cienie płyną strumieniem,  
by ciała zwyczajskie, lecz czujne, falami chłodu ukoić.

A wtedy w drzewach najczulszych puszyste ptaki uśpione  
i kołysanki dzwoniące nad nocą ciepłą jak ciało.  
A wtedy wiatr wśród ogrodów, by jeszcze piękniej szumiało,  
a wtedy kwitną płomienie, by najstrzeższej zapłonąć.

Nad szeptem warg miłujących błogosławiony niepokój  
I łuk miłości jaśnieje, a słodka światłość powiekom.

Żeglugo ciał niestrudzonych! — wyspy tragiczne daleko.  
Świt wybrzeżami srebrnieje u kresu nocy i mroku.

JERZY KAMIL WEINTRAUB

## W I N O M Ę T N E

Snują się prześwietlone marzenia przebytych mił,  
na pamięć skrzypiącą masztów sztormy żalobnie nagrane.  
Jak upiór powstaje za nimi od bezan masztu po kil,  
hukiem rozdzwania kieliszki i bryzga cierpką pianą.

Rozłóg za karczmą wabi, okrutny krwawi głóg  
jak kiedyś gdy w mokrym brzasku ze strzelbą w zieleń szli;  
z mielizny wypitej szklanki wychodzi rozstaj dróg,  
tęsknota zwraca przeszłość i morzem w gardle mdli.

Odpyw marzenia odsłania: ziemi złowróźbny czar,  
próg chwyta za nogi, w kartach — trefle listkami wabia,  
trzymając rękę na sercu, wrosła w zagonów żar  
kobieta wschodzi klęską jak łuna nad korabiem.

NORA ODLANICKA

## P O Ź A R S K R O N I

Stojąc po skronie w gorączce 20 lat  
chwytamy nurt płynący w semaforach oczu.  
Ręce drżą niby czułe passaty z jedwabiu.  
Czekamy, aż nas zaleją  
sypane z wyłożonych czarnoziemem koszuów  
śpiące bez okiennic zapachy maciejek.

Stoimy.

Niebo nam spada na ręce, jak kołdra  
— myślom tak miękko w pudle bez zawiasów.  
Włochate słowa tkają wzorzyste kilimy  
Zawiesi je noc na przeraźliwie bladych ścianach,  
gdy drogę do wschodu tamuje winograd.

Już czas

Rozkaż ustom podpalić świeże stogi siana,  
płomienie kłaść jak brzaski na zimnym czole!  
Niech nas kołysze sen — pluszowy hamak.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

## P R Z E C I W D Z I E J O M

Srebrem o świty dzwonią! Przeszli już mężczyźni,  
unosząc w krwawej kokardzie sławę i gniew  
Pękają bory zielenią, rdzawym orężem  
jeżą na piersi żołnierza zwycięskie dni.

Czas się rozszumiał. Miedź tryska. Ojczyzna śpiewa  
Pałą się końskie grzywy. Kamienny wiatr  
posągi przykrył milczeniem. Tłum ludzi żywych  
wrasta bez ognia w dłoniach w kolumnę lat.

Prężą się żebra ulic. Historia żyje.

Warszawa serca zagłusza młodym i dzielnym.  
Dokąd nas wiodą i po co i wargi czyje  
znaczą na gniewnych czołach znaki śmiertelne?

Wiatr heroiczny z północy raz tylko wieje  
do białych ścian Belwederu... A młodym czas już...  
Ciasno jest w krypcie niemej, gdy Serce żyje,  
Marszałku, Twojej historii jest także ciasno.

Srebrem o świty dzwonią. Przeszli już mężczyźni,  
unosząc w krwawej kokardzie sławę i gniew  
Ty, który jesteś, w samotność duszę wytężasz,  
a młodzi płaczą na ustach ojczysty śpiew.

ZDZISŁAW POPOWSKI

## Z D A N I E   L O G I C Z N E

prof. Tadeuszowi Kotarbińskiemu

— Kiedy znowu niewiadomym się staniesz,  
moje biedne logiczne zdanie? —  
Mądre, jasne... bez szeptu i krzyku  
bez myślników...  
i wykrzykników...  
Można nicość i wieczność zaślaniać  
jednym tylko znakiem zapytania,  
lecz i tutaj zduszono twe szanse:  
— Jesteś prawdą lub jesteś fałszem.  
— Smutkiem, żalem twe słowa załzawim...  
.. Bezsens może przyjdzie i zbawi...

ALICJA IWAŃSKA

### WIECZÓR NA PRZEDMIEŚCIU

Wieczór kosmaty na sinej chmury  
rumaku  
huczy tętentem po gorejących  
zachodu krzakach.

Niebo odpływa zieloną wodą  
zatoki  
wokoło drgają złą linią brzegów  
krwawe obłoki.

Powoli gasną rdzę osypując  
dzikiego wina  
już ciemność mosty na przęsłach kładzie  
kominów.

Domy skłaniają swe czoła w mrocznym  
andante  
łowiąc posępnie ciszę daleką  
wędkami anten.

I tylko czasem ulic szkarłatnym  
wąwozem  
wicher się piętrzy falą milczącą  
pobliskiej grozy

PIOTR KORZUCH

Oto jest chwila: cienie zdarzeń  
na dziś spadają mżącym mrokiem;  
ktoś szedł pod górę, snów się zarzekł,  
trudem sznur skręcał z mgieł i treści.

To z piwnic domu, spod podłogi  
zmienia się ciało w proch i szelest,  
to dusi czas wygasłych ognisk  
i pisze dymem: „żałuj! źle jest“

To słyhać, widać krzyk i pokrzyk:  
„spokoju“ — mówi — „już nie majacz“  
i szepce, radzi trzy i po trzy:  
„to na tym sznurku drgasz jak pajac“

Aśmy odpadłe od księżycy  
wiatr wieje w ziarna gwiazd i pramrok  
ślizga się wolno obok życia,  
aśmy nie wiedzą i nie zamrą.

MIROSŁAW STEFAN RADECKI

LUBLIN KIEDY WE MGLE

lipowa  
ulica taka  
bystrzyca jak szpilka wpięta w łąk szarozielony plakat  
lustro kałuże ze srebra  
księżycyca owal

galop pracy motorów  
dymy wysoko grzyw  
spóźniony pociąg wieczoru  
dworzec może oddali o zgrzyt

pięść tak zaciśnięte domy  
ptak ciemności łopot skrzydłami

plaszcz jak murem burej mgły potop  
przedmieść więdną bukiety lamp  
cienie jak koty  
do bram

młodość  
mgła  
ze szkła

JERZY PLEŚNIAROWICZ

Bolesny i długi gwizd syreny uniósł się z rzeki i zamarł. Wołanie to krzyknęło żałośnie i przepadło w ciemnościach. Jęk wyrwał się z ust oczekującego jak sygnał boi na rzece.

W najwyższym napięciu nasłuchiwał wszystkich dźwięków, głosów, szmerów a wszędzie tylko trwał uparty szelest śniegu na polu. Skrzypnęła podłoga, zadrżał tynk mokry i osypujący się za tapetą, poruszył się tapczan i szemrzało grube pościelisko wołokowego chodnika w pokoju.

Wszyscy chyba wymarli w tej wielkiej dzielnicy, na szosie ani na chodniku nikogo prócz latarni zaćmionych śnieżycą.

Dławiła go ta cisza, zamurowana ciężko ogromnym milczeniem.

Chodził bez celu tam i z powrotem głuszac krokami nie-ludzki i nie do wytrzymania niepokój, rosnący w nim razem ze wzburzeniem ogólnym. Ślaniał się ze zmęczenia i natężonej uwagi. Spojrzał na zegarek, ale było za ciemno od skąpej strugi świetlnej, podszedł więc do okna, oczy go piekły, usta miał suche i zapiekłe, czuł śmiertelne znużenie, na zegarku było wpół do dwunastej. Ogarnął szybko oczyma ulicę. Nie było nic na niej nowego.

Na bramce prowadzącej do ogródka wyrósł wysoki, biały i delikatny abażur śniegu.

Położył się w ubraniu na kanapie i przymknął oczy. Pod gorejącymi powiekami jawiła się uparcie ona. Ona śmiejąca się, ona jako młodzianka dziewczyna, jaką ją poznał, ona z ustami zaciśniętymi do płaczu, ona w płaszczu wiosennym, w towarzystwie rozbawionej młodzieży mieszczańskiej, w sali sądowej podczas jego rozprawy, ona na ulicy, w parku, w lesie, polach i kawiarni, smutna i wesoła, śliczna jak mamidło, splakana i brzydka po scenach zazdrości, które jej robił ustawicznie, kuszająca i namiętna jak płomień; zimna i odpychająca, pogardliwa i wyniosła w chwilach gniewu, ona w spaźmie miłosnym zdrowa i płomienna, smutna i tkliwa, czuła i nieśmiała, brutalna i i wzniosła zarazem, pełna największego uroku i największych sprzeczności, dzika i kochająca, nieczuła i oddana, swobodna i skromna, piękna i niezależna, i jakże przede wszystkim żywa i ludzka.

Jakżeż kochana, bliska i cenna! Sam płomień i żywioł

---

\*) Fragment z powieści p. t. „Ksawera” trzeciej z kolei po „Cynku” i „Pieniądzu” powieści M. Czuchnowskiego. (Red.)

wyzwalający się z siebie! Najdroższy, najbliższy człowiek, niezbędny mu do dalszego życia.

— Nie wytrzymam dłużej! Straszne oczekiwanie — szeptał nieprzytomnie do siebie.

Spojrzał na zegarek i zadrżał. Na pustej uliczce nagle jakby zastukał rytm damskich obcasików, tak charakterystyczny i znany, stłumiony w miękkim, grubym nasypie śniegu, raz i znowu zastukał powtórnie, tym razem bliżej i pewniej.

— Ona!

Zerwał się z tapczanu, mięśnie naprężyły się w nim jak stal, serce przestało bić, tracił oddech i świadomość, chciał zrobić kilka kroków naprzód, ale nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

Furtka skrzywnęła jak westchnienie, ktoś szybko zaszeleścił po śniegu i ujął klamkę drzwi wejściowych w sionce. Kroki zastukały drobno i słodko po deskach podłogi a wchodząca ujęła śmiało za klamkę, otworzyła drzwi i stanęła w nich, patrząc na ciemny, nieoświetlony pokój, jakby miała zastać tu kogoś na pewno.

Plaszcz z futrzanym kołnierzem, kapelusz, włosy, brwi i policzki miała ośnieżone białym puchem, który tajał i opadał mokrymi, zimnymi kroplami. Stała chwilę, nie mogąc poznać w szarej ciemności, kto ją wezwał i po co. Naprzeciw niej był jakiś mężczyzna. Patrzył na wysoką, silną sylwetkę kobiety stojącej w drzwiach jak zjawisko, nie mógł oderwać oczu od niej, napatrzeć się za dosyć.

Trwało to bardzo krótko, jeden moment, i wraz szybko kobieta i mężczyzna podeszli do siebie i w ciemnym pokoju rozległy się dwa stłumione okrzyki, po czym przybyła rzuciła się jak nieprzytomna, niepamiętna na nic, na szyję nieznanemu i słyhać było tylko jej głos bolesny, dobytý gdzieś z dna życia, z najgłębszej rudy człowieka, jęk przeraźliwy i urwany, zduszony i straszliwie krótki jak strzał rewolwerowy, potem, wybuchła jakimś gorączkowym łkaniem, z tragicznymi pauzami, w których jej oddech namiętny zanosił się spazmem gwałtownym i rozpaczliwym.

Jur! Jerzy!... Ach! To ty! Naprawdę ty! Ach!...

Dumna, wspaniała sylweta załamała się, ramiona opadły, cała postać zmałała i zdrobniała.

Ach! To ty! Ty! Ty!

Nie mogła chwycić oddechu. Zatuliła mężczyznę obu rękami i objęła. Z jękiem zdławionym, urwanym, z tkliwością bez granic i pamięci rzuciła mu się na szyję i przylgnęła szybko do

jego warg napiętymi ustami, pełnymi szczęścia, bólu, krwi i tklivości, trwogi i lęku.

— Wróciłeś, najdroższy mój!

— Wusia! Ksaw! Ksawera!

Całował ją w pełne i nabrziałe w napięciu mokre usta i szeptał jej imię we wszystkich możliwych brzmieniach i spieszczeniach, silny, odrodzony, opanowany, z powrotem przywrócony życiu.

Przywarli ustami tak silnie, że zęby przyłgnęły do siebie i gorący smak ich odebrał im pamięć.

Wreszcie oderwał usta od jej warg gorących i wilgotnych, naprężonych i krwawych i całował chłodne policzki, chłodną skórę twarzy, mokre włosy i brwi, szorstkie i oroszone, po czym znów usta o surowym, ognistym zapachu, przez które Ksawera chciała tchnąć w tej chwili w niego całą swą miłość, namiętność, przywiązanie, lęk i trwogę.

Całowała z silnie zamkniętymi oczami. Bała się je otworzyć, że wszystko zginie, przepadnie, że prawda zniknie, a ona znów zostanie sama ze sobą.

Trwało to moment, może wieczność, takiego czasu nie można oznaczyć, jest on tak pełny, jak miłość z jej straszną materialną prawdą. Stali w ciemności na środku pokoju i walczyli ze sobą, mocowali się z własnym szczęściem, pomieszanym z nadzieją, bólem i niepokojem. Usta przypadały do ust, ciała przenikały się wzajemnie własnym ciepłem, wzruszeniem i dreszczem, zwarły się w jeden kłęb, wezbrany tklivością, potężną i silną jak wybuch.

Ksawera miała całą twarz w ogniu. Jej chłodna, zanesiona ostrym zapachem świeżego śniegu skóra policzków była gorąca teraz, cała jej postać pachniała zresztą żywo mokrym śniegiem obecnie, usta jego spadały na nią gwałtownie. Nagle znów jęknęła głośno i poczęła oddawać namiętnie pocałunki, potem znów rozległ się jej jęk, jakiś bolesny i uciszony, wyrwała mu się z ramion i chwyciła pełnymi ustami powietrze, znużona i słaba.

— Przestań! Proszę cię, przestań! — szeptała trwożnie i szybko!

Ale usta mężczyzny szukały jej warg gorączkowo. Objęły ją naraz mocne ręce i zwinęła się w nich jak pęk, w głowie jej wirowało i szumiało, wargi paliły i bolały, ciało sprężyste i gibkie naprężyło się nagle i ciasno przywarło do ciała mężczyzny,

Mówiła przez łyż:

— Nie całuj mnie tak. Nie całuj tak. Błagam cię. Serce mi pęknie.



Owładnęła nią taka słabość, że poczęła drzeć w męskich ramionach i słać się na nogach. Łzy puściły się jej po twarzy obfite i niespodziane.

— Kocham cię. Kocham. Kocham.

Szept jej był cichy i smutny

Była całkiem bezsilna wobec tego, co się z nią działo.

Ostatnim wysiłkiem wyrwała mu się z rąk i zatoczyła na chodniku. Ciało jej przenikał żar, palił w każdej odrobinie skóry, mięśni i nerwów. Była nieprzytomna prawie. Zaczęła płakać.

Wtedy ochłonęli obydwójce. Ksawera stała w płaszczu jak przyszała, tylko kapelusz zesunął się z bujnych, czarnych włosów i leżał przy niej na podłodze. Schyliła się, aby go podnieść, ale Jerzy uprzedził ją i ręce ich spotkały się w powietrzu.

Jerzy ujął ją za ręce i całował palce, a ona drżała jak mała dziewczyna, przeniknięta pieśczołą całą. Potem zaczął zdejmować z niej płaszcz, sweter, śniegowce i szal i rzucał części ubrania na tapczan w pobliżu. Chciał ją objąć znowu, ale ona broniła się kurczowo i prosiła, żeby ją zostawił w spokoju. Porządkowała włosy i obciągała bluzkę na silnie osadzonych, ślicznych, kształtnych piersiach. Gdy skończyła, podszedł do niej, a ona drżała i nie mogła się opanować.

Objęli się mocno i gwałtownie.

MARIAN CZUCHNOWSKI

## NA SKRAJU NOCY

Mój pokój i dal czuwająca  
Nad wieczornieniem ziemi —  
To jedno. Jam struna tęskniąca,  
Nad szerokimi, szumnemi  
Rezonansami drgająca.

Rzeczy — to skrzypiec ciała,  
Gdzie szemrząc mrok się ścieli,  
W którym śni płacz kobiety;  
Jemu się we śnie udzieli  
Gniew całych rodów...  
Jeżeli  
Zadrgam srebrzyście:  
Zadrzy pode mną wszystko, co żyje.  
A to, co w rzeczach się kryje,  
Do światła dążyć będzie wieczyście,  
Jakie z mojego tańczącego dźwięku,  
Wokół którego niebo faluje,

Poprzez łaknącą, wążiutką szparę  
Bez końca  
W tonie  
Opada prastare...

RAINER MARIA RILKE  
przełożył Leopold Lewin

\* \* \*

Ktokolwiek jesteś: wieczorem z mieszkania  
Wyjdź, gdzie znasz wszystko, każdy własny gest;  
Dom twój ostatni przed dałą się śłania;  
Ktośkolwiek jest.  
Twoim znużonym, nieobecny wzrokiem,  
Który z ledwością opuszcza te progi,  
Podnosisz zwolna drzewo, kryte mrokiem,  
I — smukłe — niesiesz na niebiańskie drogi.  
I świat stworzyłeś. Wielki i uroczy,  
Dojrzewający jak słowo w milczeniu.  
A gdy sens jego pojdziesz w objawieniu,  
Czule go twoje porzucają oczy

RAINER MARIA RILKE  
przełożył Leopold Lewin

### P I Ę T A \*)

Rośnie samotność moja bez imienia  
I mnie wypełnia. Tężeję jak głazu  
Wnętrze tężeje.  
Choć twarda jestem, wiedziałam od razu:  
Ty będziesz wielki.  
... i będziesz wielki,  
By wielce bolesną  
Ponad mojego serca zrozumienie  
Przejsć drogę.  
A teraz leżysz w poprzek mego łona,  
Teraz cię już urodzić  
Nie mogę.

RAINER MARIA RILKE  
przełożył Leopold Lewin

\*) Trzy wiersze wyjęte z mającego się wkrótce ukazać tomu przekładów L. Lewina z R. M. Rilkego.

Czesław Janczarski: Błękitna chustka,  
Równe 1936.

„Na peryferiach szczęścia, daleko od gwaru Domek buduję, mały domek“ — mówi poeta w jednym z wierszy Zdanie doskonale nadające się do ilustracji ostatniego zbioru Janczarskiego. Istotnie, wiersze te, zawarte w „małym domku“ szczupłej książeczki powstały „daleko od gwaru“ burzą brzemiennej współczesności. Są to sielankowe poezje, przez które przełamuje się rozkochana w pięknie natury dusza poety, co pragnęłaby „coś z lata mieć w sobie“. Ale „domek“ Janczarskiego jest nie tylko „mały“. Jest przede wszystkim piękny. Od poprzednich zbiorów, w których tylko zarysowywały się jego możliwości poetyckie, odstrzelił się nie tyle dystansem lat, ile dojrzałością świadomego swych środków i celów artysty. Co uderza tu, to delikatność rysunku, brak refleksji, subtelna tonacja uczuć przy zmysłowej chłonności przede wszystkim wzrokowca, choć w wierszach Janczarskiego nie brak i innych wrażeń. Aparat metaforyczny opanowany mistrzowsko. Niektóre zdania są już miniaturowymi, ślicznymi poemacikami, że przytoczę tu „Od północy polarne psy smagane błękitem W Wiśle topią kudłate zmęczenie“ albo „Boża krówka kropłą krwi upadła na trawę, Nieruchomo zaskrzepła Kulka“ Rymy — rzadkie, zastąpione przez niby-rymy i czasem dalekie nawet asonanse, co doskonale harmonizuje z nastrojem tych wierszy.

Wpływy? Czasem przypomni się dalekim echem Czechowicz, ale Janczarski jest samodzielnym artystą, nie jest więc to naśladownictwo, ale raczej może pewne podobieństwo struktury psychicznej obu pisarzy. Reasumuję: „Błękitna chustka“ pasowała Janczarskiego na prawdziwego poetę.

P.S. Do pięknego tryptyku „Dzień na wsi“ — zwracam tu uwagę na pomysłowe zakończenie trzech części wiersza — wozy w roli zegarów — wkradł się błąd językowy: „krzącąc się“. Chyba „krzątając się“?

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

## M I Ł O Ś Ć

Dzień płacze... Dzień we mgle białawej  
Dziewki i żeńcy poszli kosić trawę —  
Nie wróci już

Trawa jest zielona oczy modre oczy są jak pączki fiołków  
A chłopcy i dziewczki obejmują się w pasie  
bo oczy te są jak fiołki mądre

Ciężko jest żyć miłością i sierpem sierp ostry jest  
i miłość skaleczy  
Oczy już nie będą mieć tej wagi w krasie  
aż wieczorem dzwon się rozdaleczy

Ale się znów doczekają  
szczęścia się doczekają chabry uwiędłe ścięte  
Z poduszki dziecko rozejrzy się dokoła —  
matka jest w lustrze zakłęta

I tak jest najwięcej boleści i piękna boleścią piękno nabrzmiewa  
Na wzgórzu znów pasie się zachód  
i gwiazd na niebie ulewa

A wieczór płacze płacze nieustannie  
Dziewki z chłopcami poszły na kochanie  
Drzwi o świcie otworzy im rączka dziecięca  
Nie wróci więcej —  
Nie wróci

VITIEZSLAV NEZVAL  
z czeskiego spolszczył K. A. Jaworski

## W Ł Ó C Z Ę G A

Gdzieś w gąszczu lasu resztę życia strawię,  
włóczęga, w krzakach znajdę barłóg, dach —  
a gdy rusałka mnie nie schwyta w trawie,  
to potem będę i umierał w krzaczach.

Tej nocy będę spał na fiołków toni,  
zielony nieba mnie upieści lej,  
tułaczym sercem będę dale gonił  
i witał gwiazdy ręką milej mej.

Śmierć modra przyjdzie z tamtych brzegów młodych,  
życie mi nic nie dało, więc coś odbierze śmierć,  
blady mi anioł da miłości słodycz,  
potem mnie weźmie w otchłań gwiazdnych skier.

Kiedy na fiołkach będę odpoczywał,  
tylko rusałki będą w lesie łkać,  
miesiąc z gwiazdami będzie się wpatrywał,  
a wietrzyk przyjdzie mi na twarzy grać.

RUDOLF DILONG  
ze słowackiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

## PIEŚŃ ZIMOWA

Mięciuchny śnieżek pada  
z chmur, co się ważą w górze,  
i słodko topi się  
na ust dziewczęcych purpurze.

Północy mroźnej chyża córo,  
toczysz swe serce drogą  
rzekłbyś jak śnieżną kulę,  
a twarz ci przytem płonie tak  
jak pomarańcze z Honolulu.

I oczy twoje świecą,  
płomień ciskasz wzrokiem.  
Ach, lubię taką grę,  
gdybym był Eskimosem,  
to bym ci zaraz przyniósł  
najpiękniejszą fokę!

Przy tobie mi niczym  
ni mróz ni chłód,  
na przekór wicherzycy  
wesoły mój chód.

Z drzewa kiwa do mnie  
lilii kwiat ze śniegu,  
abym ją przesadził  
do ogródka twego.

Pieszko chodzim sobie,  
lecz chętniej bym cię nosił —  
babeczkę z marcepanu.  
A gdybym z tobą przyszedł  
przed waszą małą bramę,  
nie zostałoby z ciebie ani kawałeczka,  
tylko włosy, sukienka i biała czapeczka.

JAN SMREK

Ze słowackiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

## KRONIKA SŁOWIAŃSKA

Styczeniowy numer „Slovenskích Pohľadů“ przynosi między innymi przekłady wierszy Kazimierza Wierzyńskiego („Przyjaciołom“ i „Manifest szalony“) dokonane przez Rudo Brtania. W tym samym zeszytce V Zacek omawia książkę L. Russjana „Polacy i sprawa polska na Węgrzech w r. 1848—49 (Rozpr. hist. Tow. Naukowego Warszawa 1934).

\*

Przed półtora rokiem wydawnictwo L. Mazacza w Pradze ogłosiło z racji kongresu pisarzy słowackich konkurs na najlepszą powieść i zbiór poezyj. Nagroda pierwsza za powieść wynosi 15000 koron, druga 7500 k., ze poezje pierwsza 5000 k., druga 2500 k. W skład jury powieściowego wchodzi J. Jesensky, K. Czapek, dr. A. Mraz i od wydawnictwa J. Smrek, w skład jury poet. — I. Krasko, dr. R. Brtaň, dr. D. Okali i od wydawnictwa S. Letz. Termin nadsyłania prac upłynął 31 grudnia 1937 r. Do tego czasu otrzymano 14 powieści i 16 zbiorów poetyckich. Rezultat konkursu będzie ogłoszony 1 maja 1938.

\*

Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy im. I. Franki we Lwowie przyznało w r. 1937 trzy nagrody literackie: I., w wysokości 600 zł., — J. Kosaczowi za trzy zbiory opowiadań: „Czarująca Ukraina“, „Kłębek Ariadny“ i „Trzynasta drużyna“; II., w wysokości 400 zł. młodemu historykowi I. Barszczakowi za dzieło p. t. „Napoleon i Ukraina“ i III., w wysokości 300 zł., znanej poetce Natalii Liwićkiej-Chołodnej. Poza tym dodatkowo przyznano nagrodę ufundowaną przez Ukraińców w Kanadzie (75 dolarów) — Halinie Żurbie za powieść „Nadchodzi rewolucja“.

\*

Katolicką nagrodę literacką ufundowaną przez U. K. Z. przyznano (I. 350 zł.) Nat. Korolewej za powieść „Sen cienia“, (II. — dwie po 250 zł.) Jur. Kosaczowi za „Czarującą Ukrainę“ i Hal. Żurbie za powieść „Nadchodzi rewolucja“ oraz (III — 150 zł.) Jur. Klenowi za poemat „Przekłete lata“: W ten sposób Kosacz i Żurba zostali za te same książki nagrodzeni dwukrotnie.

\*

Lwowski dwutygodnik artystyczno-społeczny „Nazustrić“ od stycznia r.b. ukazuje się w zmienionej nieco szacie pod redakcją znanego poety Światosława Hordyńskiego. Strona literacko-artystyczna pisma na tym bezwzględnie zyskała.

\*

Po dłuższej przerwie ukazał się № 7 (Jesień 1937 r.) ukraińskiego czasopisma literackiego „My“ Poziom jak zawsze wysoki. Na szczególniejszą uwagę zasługuje tu wybór poezyj Natalii Liwićkiej-Chołodnej z cyklu „Siedem liter“, dalsze fragmenty powieści Andrzeja Kryżaniwskiego „Dzieje jednego wagonu“ i przekłady z Verhaeren'a Św. Hordyńskiego poprzedzone szkicem literackim tłumacza o wielkim poecie belgijskim.

\*

Nakładem Instytutu Etnograficznego Akademii Nauk w Moskwie ukazał się tom pierwszy zbioru bylin północnych („Byliny Siewiera“), zebranych przez A. M. Astachową.

---

---

**CZAS ODNOWIĆ PREMUMERATĘ „KAMENY“  
NA DRUGIE PÓŁROCZE (2 ZŁ. 50 GR.)**

---

---

SMUTNIE ZAKOŃCZYŁ SIĘ dla naszego życia literackiego r. 1937, a już w dwóch pierwszych miesiącach roku bieżącego notujemy nowe straty naszej kultury: śmierć świetnego publicysty Bolesława Koskowskiego uczyniła poważną lukę w dziennikarstwie polskim, nauka nasza postradała dwie czołowe postacie — religionistę prof. Stefana Czarnowskiego i filozofa prof. Kazimierza Twardowskiego, wreszcie literatura polska ponownie okryła się żałobą po śmierci największego z dzisiejszych naszych dramaturgów Karola Huberta Rostworowskiego.

NAGRODĘ MŁODYCH Polskiej Akademii Literatury w r. 1938 przyśadzono Stanisławowi Piętakowi za powieść „Młodość Jasia Kunefala”. Ale właściwie jest to w dalszym ciągu nagroda za poezję: Piętak jest autorem trzech książek poetyckich, zdradzającym ostatnio ciążenie ku epice, a na kartach jego nagrodzonej powieści można znaleźć wiele wartościowych fragmentów o charakterze ściśle poetyckim. Ciekawą jest rzeczą, że w grudniowej ankiecie „Pionu” („Kto powinien otrzymać nagrodę „młodych” P.A.L.?”) w której wzięło udział 29 pisarzy, nikt nie wypowiedział się za tą kandydaturą. A jednak wybór jej spotkał się z ogólną aprobatą świata literackiego, w którym Piętak cieszy się dużą sympatią.

W Nr. 23 „APELU”, kulturalnie i interesująco redagowanego dodatku artystyczno-literackiego do niedzielnego „Kurierza Porannego”, znajdujemy ciekawy fragment „Z pamiętnika” Henryka Domańskiego. Rzucą on światło na tragiczną postać przedwcześnie i dobrowolnie zmarłego poety Bronisława Michalskiego. W związku z tym przypomniał się nam piękny zamiar przyjaciół jego, zamiar, który, niestety, dotąd jeszcze nie został zrealizowany: towarzysze jego doli i niedoli, bliscy mu poeci umyślili wydać ku czei jego zbiorową książkę, w której miały się znaleźć ich wspomnienia o przyjacielu oraz wiersze na jego śmierć pisane. W trzecim roku po zgonie Michalskiego pamiętka ta bezwzględnie powinna się ukazać — czas największy.

Nº 7 TYGODNIKA „CZARNO NA BIAŁEM” zosał w całości poświęcony pamięci Andrzeja Struga. Znajdujemy tu szereg wypowiedzi A. Próchnika, J. Turonia, I. Świeckiego, P. Hulki-Laskowskiego, gen. M. Zaruskiego (b. interesujące wspomnienia), S. Czarnowskiego (o Strugu — senatorze), S. Pomiana, J. K. Wendego i in. Numer uzupełnia szereg fotografii.

„SYGNAŁY“ OD LUTEGO są dwutygodnikiem. Redakcja dba o wciąż wyższy poziom pisma. Z ciekawszych pozycji dwóch ostatnich numerów wymienimy fragment André Malraux osnuty na przeżyciach świetnego pisarza francuskiego (obecnie dowódcy lotnika w republikańskiej armii hiszpańskiej) z wojny domowej na półwyspie Iberyjskim (Nº 39), wyciątek z pracy Fr. Siedleckiego o A. Błoku oraz urywek z powieści Czuchnowskiego „Ksawera” (Nº 40).

W XL ROCZNIKU „PRZEGLĄDU FILOZOFICZNEGO“ (1937 r.) znajdujemy rozdział z monografii Jerzego Eugeniusza Płomińskiego o Edwardzie Dembowskim. Autor charakteryzuje tu na ogół mało u nas znaną postać młodziutkiego filozofa, teoretyka społecznego („można go uważać za samodzielnego poprzodnika twórcy materializmu dziejowego, Marxa“ pisze Płomiński), historyka literatury i rewolucjonisty, tragicznie zmarłego na Podgórzu w 24 roku życia (w 1846 r.) Monografia Płomińskiego wydobędzie z ukrycia jedną z najciekawszych osobistości polskiej irredenty i przyczyni się może do dalszych studiów nad życiem i działalnością postaci w stylu Plutarcha, których ta epoka wydała (np. H. Kamieński, hr. Worcel i in.).

BRZYDKA SPRAWA W „Siewie Młodej Wsi” z dn. 16 stycznia 1938 roku Mieczysław Żytka zamieścił wiersz p. t. „List do matki“, będący plagiatem „Listu do siostry“ Józefa A. Frasika drukowanego w Nº 1 (rocz. V) „Kamenny“ Zaświadczyć o tym mogą choćby następujące zestawienia: „Sześć lat. Pomyśl: jaki to ogrom nas obszedł“ (Frasik) i „Dwa lata. Pomyśl, Matko: jaki to ogrom nas obszedł“ (Żytka); „Z sąsiadami

wiosną jak zwykle kłótnie: ten wydepce, ten ukradnie, tamten zaorze — lecz siostró, nie piszę Ci, że dlatego jest może smutniej, nie piszę ci, że dlatego jest może gorzej“ i „Tam pewnie u Was z sąsiadami idą kłótnie, bo ten wydepce i tamten ukradnie, inny zaorze — lecz, Matko — nie myśl, nie piszę Ci dlatego, że jest może smutniej, nie piszę Ci dlatego, że jest może gorzej“. To jeszcze nie wszystko, brak miejsca nie pozwala nam więcej cytować, ale chyba wystarczy. Brzydko, p. Żytko. — kaj —

Komitet organizacyjny Wakacyjnych Kursów Nauk.-Literackich w Zakopanem ogłasza, iż tegoroczne kursy zaczną się 11 lipca i będą trwały 3 tygodnie. Weźmie w nich udział przeszło 20 prelegentów (uczni i wybitni pisarze intelektualisci) Członkami Komitetu Organizacyjnego są wice-burmistrz Zakopanego płk. Zdz. Adamczyk, K. L. Koniński, J. E. Płomieński i St. Ign. Witkiewicz.

W czasie minionych wakacyj kursy cieszyły się dużą frekwencją. Prelegentami byli: prof. dr Bystroń, prof. dr A. Chybiński, prof. dr W. Goetel, M. Kasprovczowa, prof. dr J. Krzyżanowski, prof. dr V. Molé, prof. dr Nitsch, J. E. Płomieński, ks. prof. dr B. Rosiński i St. Ign. Witkiewicz.

#### ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Wł. MIL. w SARNACH Uprzejmie nadesłane nam wiersze świadczą o pewnych możliwościach, ale jeszcze nie dla nas.

P. G. CIEŚ w MIECHOWIE. Temperament, inflacja słów. Skłonność do ciężko ukutych złożeń w rodzaju „bosko-słoneczne pasmo“, „szatańskobójcze monstrum“, „światopoglądowe zdania“(okropność!) „dalekośpiwny szum“, „natchnieniobójcza jaźń“ (sic!). Niestety.

P. K. POPL. w LUBLINIE Recenzji teatralnych w „Kamienie“ nie zamieszczamy (dawniej były!), ponieważ Teatr Wołyński na ogół rzadko wystawia sztuki wartościowe.

P. MIECZ, STR. w GRUDZIĄDZU Nadesłane ostatnio utwory lepsze od poprzedniej serii. Chcielibyśmy zamieścić coś w tym roku wydawniczym, choć b. ciasno.

P. ROM. SAD. w WARSZAWIE Dziękujemy za pamięć. Zatrzymujemy „Oczekiwanie“ i „Bo w oczach był początek“.

#### KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Janina Brzostowska: Kobieta zdobywa świat Warszawa, Hoesick, 1938

Mieczysław Kossowski: Chłód drogi, Zamość, 1937

Liubomir Kupczok: Opály a prsteni. 1931.

Liubomir Kupczok: Haviari, Bratislava 1934.

Liubomir Kupczok: Knock out a lyra, Bratislava 1937.



Witold Salm: Kwitnące głogi, Warszawa, Hoesick, 1938.

Angelus Silesius: Pątnik anielski, tłum. A. Szczerbowski,

Zamość 1937.

Słowacja i Słowacy, praca zbiorowa pod red. Wład. Semkowi-  
cza t. I Kraj i lud, Kraków 1937.

Jan A. Szczepański: Pierwsza polska wyprawa w Andy,

Kraków 1938.

Adam Szczerbowski: Współczesna poezja polska 1915 — 1935

Zamość 1936

Lola Szereszewska: Gałęzie, Warszawa, Hoesick 1938.

Józef Andrzej Teslar: Plastr miodu, u Tyszkiewicza,

Florencja 1937.

Alfred Wizner: Ślady czasu, Warszawa, Hoesick 1938.

№ 11 „BIBLIOTEKI KAMENY“

STEFAN NAPIERSKI

POECI NIEMIECCY

Liryki niemieckiej tom II

Str. 173

Skład główny: Towarzystwo Wydawnicze

J. Mortkowicza w Warszawie.

№ 12 „BIBLIOTEKI KAMENY“

MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI

PIEŚNI BUNTOWNICZE

Str. 43

Skład główny: Warszawa, F. Hoesick

№ 13 „BIBLIOTEKI KAMENY“

STANISŁAW BAKOWSKI

DRWAŁ i NIEDŹWIEDŹ

Str. 20

Z przyczyn niezależnych od Redakcji numer ukazuje się z dwutygodniowym opóźnieniem.